ROZMAITOŚCI.

Dnia 18. Marca | №er 11. | Roku 1843.

WIELKI TYDZIEŃ.

(Ciąg dalszy.)

Edward trzymając rękę Gabryjeli i wpatrując się w jéj czyste jak niebo oczy, mówił do niéj uroczystym głosem: »Nienawiść twego ojca wypędza mnie z mego raju, z téj doliny zaczarowanéj twojémi wdziękami! Lecz inna, błoga uśmiecha się do nas przyszłość, a widokres mego życia rozchmurzać się poczyna!«

»Inna, błoga przyszłość? Co mówisz Edwardzie«, zapytała dziewczyna z anielską szczérotą. »Więc tu, w téj dolinie nié ma dla ciebie szczęścia? Ach! prawdę mówisz, to ustronie nie brzmi zgiełkliwą, wesołą zabawą, którą dawniéj lubiłeś. Ale biedna Gabryjela byłaby szczęśliwą z swoim Edwardem nawet na pustym stepie sawanny!«

»Będziesz nią mój aniele w stolicy Karakas, ale nie z biédnym Edwardem, lecz z margrabią Olancho!«

»Ja cię nie rozumię. Twoja mowa ciemna. Czyś nie chory Edwardzie? Któż jest margrabią Olancho?«

»Ja nim jestem. Margrabia Olancho wróci napowrót do świata, a ty mój aniele będziesz mu jak złota gwiazda przyświécać na drodze życia.... Przez Boga! Co tobie jest Gabryjelo? Twoje czoło zimne, ty drzysz kochanko méj duszy«

»To nic szlachetny margrabio«, odrzekła dziéwczyna drżącym głosem. »Już jestem spokojną.«

»Ja cię nie pojmuje Gabryjelo. Miłość tak zimnym, dwuznacznym nie przemawia tonem. Mamże i o mojéj Gabryjeli zwątpić?«

»O Boże! Nie dopuść, aby progi naszego domu krwią zbryzgano!« rzekła do siebie smutnym głosem Gabryjela. Po chwili milczenia wyrwała swoję rękę z dłoni Edwarda i z boleścią zawołała: »Puść mnie Edwardzie, chwila stanowcza, okropna, muszę wracać do naszéj chaty!«

»Nie chcesz mnie wysłuchać....? Uciekasz odemnie?«

»Jutro o téj godzinie oczekuj mnie w jaskini *Guacharo*, dziś, w téj chwili, nie mogę przy tobie pozostać, widzisz trwogę na mojéj twarzy. Bywaj zdrów Edwardzie«, to mówiąc, wydarła się z ramion kochanka i lotem wiatru pospieszyła ku chacie.——

Z żelazem w ręku przechyliła się groźna postać Indyjanina nad łożem śpiącego alkaldy. Dawid jak duch piekła powiódł lampą po nad obliczem wybranéj ofiary, która krwawémi wylękniona snami, tarzała się po pościeli. Już piorun zemsty miał uderzyć w piérś Don Areasa, gdy oto nagle ręka Gabryjeli konwulsyjnym rzutem porywa za ramię ojca śmiercią uzbrojone, i z twarzą bladą jak widmo zjawione, staje między żelazem a pościelą alkaldy, zaklinając ojca stłumionym głosem: »Ojcze, piérwéj tę piérś przeszyj, nim złamiesz święte gościnności prawo! Ten duch wielki, przed którym się korzysz, rzuci klątwę na to dzieło krwawe!« Palma na te słowa córki wzdrygnął się jakby od węża ukąszony i z wzrokiem zbrodniarza wyleciał z izby; za nim milczkiem wysuwał się Murzyn.

»Uchodź ztąd piekielny kusicielu!« rzekła dziewczyna patrząc wzrokiem pogardy za wymykającym się Dawidem. Sama wybiegła na wolne powietrze, uklękła, i w promieniach wychylającego się z chmur księżyca, zanosiła gorące modły do Pana Zastępów, zaléwając się łzami wdzięczności. W téjże chwili opodal stanął młodzieniec, przypa-

trujący się z świętą czcią w uniebione rysy twarzy modlącéj. »Tak, to ona«, mówił uradowany do siebie, »moje serce mi powiada, że znalazłem tę, do któréj dusza moja oddawna tęskniła! Sny moje z nad *Rio-Temi* zaczynają przybiérać w dolinie *Caripe* widzialne kształty!« Tym nieznanym młodzieńcem był Jago, niewolnik alkaldy z Karakas, który szelestem sceny w chacie przebudzony, ujrzał Gabryjelę i wybiegł za nią w podwórze.

JASKINIA GUACHARO.

Jaskinia Guachara była niegdyś dla piérwszych misyjonarzy rozkrzewiających wiarę Chrystusa w téj części ziemi, bezpieczném schronieniem przed dzikimi Indyjanami. Tu na odłamie skały, odbywano święte obrzędy religii chrześcijańskiéj, podobnie jak za czasów Neronów, Dyjoklecyjanów, musiano światło wiary ukrywać w ciemnych katakombach. Na widok téj olbrzymiéj jaskini, sam nawet mieszkaniec lodowców alpejskich zdumiéć się musi. Bujna roślinność podzwrotnikowego nieba, umaja gęstym uplotem wchód do téj jaskini, nad którém z szczelin brył granitowych strzélają olbrzymie drzewa. *Mamey* i *Genipayer* z széroklém, śrébrzystém liściem, bodzie niebo pionowémi konary, *Kularil* i *Erithrina* wiążą się gałęźmi w cieniste chłodniki. Wszedłszy w jaskinię, zdaje się, że jesteś w podziemnym ogrodzie. Kobierzec z kwiatów ścieli się po obu bokach rzéki, wytryskającéj w głębi téj olbrzymiéj groty. Przecudne helikonije, palma zwana: *Praga*, przeglądają się w przejrzystym strumieniu. To samotne ustronie przenosi myśl Europejczyka do zaczarowanéj groty, w bajkach Aladyna.

Burza już się do snu ukołysała. Łagodne wietrzyki igrały po cichéj, jakby w myśiach zatopionéj dolinie. Rozkoszne niebo podzwrotnikowe zaiskrzyło się myryjadami muszek złotych, jasny księżyc mknął po czystym błękicie i rozkrawywał czasem lekkie, gazowe chmurki.

Wązka ścieżka prowadząca do groty, biegnąc uroczą, różami ubraną doliną, kryła się między skaliste ściany. Ruczaj leśny podmywał z jednéj strony ścieżkę, łamiącą się za prądem strumienia w różne zakręty. Piękna Gabryjela pomykała lekką stopą jak ognik błędny po źwierciedle wody. Zaledwie się pojawiła, już jak cień mignęła pomiędzy skalistémi urwiskami, już zbiegła po zakrętach drożyny, i już stanęła przed wnijściem do groty Guacharo. Pierś jéj wznosiła się jak pajęcza tkanka za powionem wietrzyka, okiem mdlejącém powodziła w około, jak gdyby kogo skwapliwie wyglądała, i w téjże chwili wbiegła w otwarte ramiona Edwarda!

Błogo samotnemu wędrowcowi, kiedy jasne, lazurowe niebo szepce mu słowa pociechy, kiedy go szum smukłéj palmy do snu namawia, kiedy wonna róża doń się uśmiécha, ale błożéj, radośniéj jest temu, komu miłość ziemskie ustronie w niebiańskie zmienia rozkosze, kto w spojrzeniu dziewicy — ujrzy anioła wesela! Błogo wędrowcowi, kiedy po długiéj pielgrzymce rodzinném powietrzem odetchnie, kiedy złote sny młodości zaludnią na chwilę sieroce piersi, kiedy łza rzewna za ubiegłym rajem, zwilży przygasłe oko i stopi głaz ciężący na sercu, lecz słodszym promieniem nie błyska zbawienie, jak łza miłości witająca kochanków!

Edward i Gabryjela usiedli przy grocie na odłamie skały, omszonym bujną zielenią. Edward przemówił w te słowa:

»Wspomniałem ci o radośnéj zmianie mego losu. Teraz rozwinę ci kartę mojego życia, pomiętą burzliwémi zapędy młodości. Jestem synem margrabiego Olancho. Karakas jest mojém rodzinném miejscem. Ojciec mój roztrwonił majątek, ja zostałem dziedzicem jego szlacheckich herbów, ale oraz i wielkich długów. Będąc pieszczochem szczęścia, nie mogłem się oswoić z tą myślą, że mi kiedyś przyjdzie walczyć z potrzebą. Ta mnie jedynie nadzieja pocieszała, że bogaty wuj mój Salzado, przekaże mi po śmierci swój wielki majątek. Pokochałem Aureliję, mieszczankę, siostrzenicę alkaldy z Karakas. Chciałem ją zaślubić, wuj oburzony moim wyborem, zagroził mi wydziedziczeniem. Ślepa namiętność mojéj miłości, stawiła opór woli nieugiętego wuja. Oświadczyłem, że mój zamiar nieodmienny. Salzado wniósł do sądu pismo, w którém mnie wydziedziczył. Ale to nie ugięło mojéj dumy, zerwałem wszelkie z wujem związki,

starałem się o rękę Aurelii. Ubogi, wydziedziczony margrabia dostał od kosza, a syn bogatego plantatora wziął pierwszeństwo. W wściekłym gniewie wyzywam rywala i kładę go trupem. Ścigany ustawą praw, unoszę moje życie w dolinę *Caripe*. Przed dwoma dniami otrzymuję wiadomość, że wuj złożony śmiertelną chorobą, pragnie przed skonem pojednać się ze mną, i że mój przeciwnik wygojony z głębokiéj rany, przyszedł do zdrowia. Wysoka *audiencyja* ułaskawia mnie wyrokiem... Z obrzydzeniem spoglądam na ubiegłe dni moje. Dzika namiętność zagłuszyła złoty dźwięk szlachetności, co się w méj piersi odzywał, odurzony złudnémi rozkoszami, pod brzemieniem życia uginałem moje kolana. Ciebie spotkałem mój aniele, w tém cichém ustroniu odżyłem na nowo.«

»Czemuż teraz chcesz się rzucić w odmęt świata? Nasze cieniste lasy nie mająż dla ciebie powabu?« rzekła Gabryjela.

»Przeznaczeniem mężczyzny jest, rzucić się w burżliwe fale życia, i wynieść z topieliska skarby dla całéj ludzkości. Powrócę do Karakas, ale z tobą duszo mojéj duszy!«

»Niech lądy i morza przedzielą mnie od mego Edwarda, Gabryjela nie zapomni nigdy o drogim przedmiocie swego serca! Pamięć o tobie będzie osnową samotnego życia biednéj Gabryjeli. Twój obraz będzie się unosił w godzinę śmierci przed mojém przygasającém okiem! Nieprawdaż Edwardzie, że i ty śród zgiełkliwego miasta Karakas, nie zapomniesz o dziewczynie z doliny *Caripe?*«

»Co mówisz Gabryjelo?« zapytał Edward w trwodze. »Mamże sam, bez ciebie wracać do Karakas, ciebie najdroższa opuścić? Cóż cię do tych miejsc przykuwa?«

»Miłość dziecięca.«

»Gdyby nienawiść twego ojca nie była tak srogą, rzuciłbym mu się do nóg, błagając o twoję rękę. Ach, jakżebym chętnie uprawiał waszą rolę, podzielał z wami samotność! Ale nieubłagana nienawiść Palma - Amaru obala całą budowę moich rajskich marzeń, odbiera mi życie!« To mówiąc oparł się o skałę i zakrył w boleści twarz obiema rękoma. Gabryjela milczała, ale widno było w jéj twarzy, że jéj miękkie serce okropną walkę staczało. — Po długiéj chwili stanął Edward przed Gabryjelą i rzekł żałośnie: »Już noc na wschodzie bieleje, niebawem dzień zawita, muszę się rozstać. Przebudziłem się ze snu, stoję nad przepaścią! Tyś mi była wszystkiém na ziemi, ale twoje serce nie zdolne ponieść ofiarę dla miłości. Jaż szaleniec, chciałem, aby dziewczyna z plemienia Chamajs, miała wznioślejszą duszę, niż inne kobiety!«

Na te słowa porwała się Gabryjela, oko zaszło płomieniem, twarz ogniem pałała.

»Niewdzięczny!« rzekła z boleścią. »Tyż mnie oskarzasz, mnie, com tobie niewinne serce moje i spokój duszy mojéj w ofierze przyniosła? Margrabio, mówimy po raz ostatni!«

To rzekłszy, rzuciła się łkając na murawę i zakryła rękoma pałające oblicze. Edward podbiegł ku niéj i zaklinał ją najsłodszémi słowy, aby się uspokoiła. Chciał ją ująć za rękę, ale odepchnęła go od siebie.

»Bywaj więc zdrowa«, rzekł w końcu głosem żałości. »Bywaj zdrowa na wieki! Ale spojrzyj na mnie choć raz jeszcze przyjaźném okiem.«

W nieméj boleści wpatrywała się Gabryjela w oblicze kochanka, łza gorąca spłynęła jéj po twarzy. Edward rozżalony chciał się ku niéj zbliżyć, ale nie dozwoliła. Odchodząc w rozpaczy, ostatniém ją żegna spojrzeniem, gdy oto z otwartémi ramiony rzuca mu się Gabryjela na szyję, okrywa go gorącémi pocałunkami, i mdlejącym szepce głosem:

»Wszystko ci przebaczam! Jestem twoją! Pójdę za tobą!«

Oboje kochankowie upojeni miłością, usiedli w głębi jaskini. Za jednym razem buchnęły płomieniem pochodnie, oświetlając czarne i miedziane twarze, posuwające się coraz bliżej ku olbrzymiéj grocie. Na czele orszaku postępował ponuro Palma-Amaru.

»Tam w owéj grocie«, ozwał się naczelnik Chamajsów do Jago, byłego niewolnika alkaldy. »Tam w owéj grocie zaprzysięgniesz nam milczenie, że nie wydasz naszego związku. Wytępienie białych najezdników, łączy tu nasze dłonie bratnie. Przysięgniesz, że żadna przemoc nie zdoła ci wydrzeć naszéj tajemnicy.«

»Palmo!« odrzekł Jago uroczyście. »Tylko śmierć rozłączy mnie z tobą i twoimi braćmi! Pierwéj wydrą mi język rozpalonémi kleszczami, nim zdradzę związkowych! Żadne uczucie nie wiąże mnie do białych, chyba uczucie nienawiści. Wczoraj wyczytałem w twojéj twarzy Palmo, że dom twój będzie dla mnie schronieniem. W lesie Pungaro odbiegłem mego srogiego pana. Od téj chwili będę cię kochał synowską miłością.«

Cały orszak stanął przed wchodem do groty. Dymiące pochodnie rzucały pełnym strumieniem światło do ciemnéj jaskini, wypłoszone drapieżne ptactwo napełniało wrzaskiem rozległą grotę.

Z świętą czcią wstąpili Indyjanie do jaskini, gdzie duchy ich ojców zamieszkały. Taka była wiara plemienia Chamajsów.

»Ivorokiamo! Ivorokiamo!« zawołał Palma. »Niebawem ostatnia uderzy godzina dla twego panowania! Nie raduj się naczelniku złych duchów hańbą Chamajsów stękających pod jarzmem najezdników! Wielki duch Virakocha pogrzebie w wnętrznościach ziemi morderców Guatimali!«

»Nie jesteśmy sami«, zawołał Dawid, poświécając pochodnią w głębi jaskini. »Palma-Amaru spojrzyj tutaj, to dla ciebie widok nader piękny!«

»Cudzoziemiec i moja córka?!«

Okropny wykrzyk ten z piersi ojca, złamał się o sklepienie groty, w zapędzie gniewu już błysnął ostrém żelazem nad głowami kochanków, ale Jago osadził podniesioną rękę.

»Śmierć, śmierć cudzoziemcowi«, zaryczeli Murzyni wrzaskiem szatańskim!

»O, piekielne widmo!« zawołał Palma. »Czemuż urągasz się ze mnie!«

»Śmierć, śmierć zuchwałemu!« dziko zawtórzyła zgraja Murzynów.

»Ja mam się posoką tego cudzoziemca zmazać? To nie mojém rzemiosłem«, to rzekłszy zwrócił się Palma do cudzoziemca: »Jak natrętny wierzyciel upominasz się o spłatę długu wdzięczności, żeś moję córkę zbawił od śmierci; ona się już wypłaciła swojémi pieszczotami«, mówił daléj szyderczo, »ja się teraz wypłacam, darując ci życie. Lecz przysięgam na kości ojców moich, że wszystkie sztylety moich towarzyszy utopię w twéj ohydnéj piersi, skoro raz jeszcze ukażesz się moim oczom. Tu przystąp Gabryjelo, to rozkazuje ci twój ojciec.« Dziéwczyna drżąca splotła konwulsyjnie dłonie w około ramienia Edwarda. »Gabryjelo, bądź posłuszną, ja ci rozkazuję«, ofuknął surowo ojciec. Potokiem łez zalały się oczy dziéwczyny. Rozrzewniony Jago jął biédną pocieszać: »Ukój żal, nie płacz, ja cię jak brat kochać będę.«

»Gabryjelo, twój ojciec prosi, abyś mu była posłuszną«, drżącym głosem przemówił Palma.

Dziéwczyna oderwała się od boku kochanka i załamując ręce padła na kolana przed ojcem.

»Bywaj zdrowa Gabryjelo, przebaczam ci Palmo!« rzewnym głosem zawołał Edward. Gabryjela wzrokiem na pół martwym, wiodła za odchodzącym kochankiem, ciemność grobowa zasuwała jéj oczy, bez zmysłów padła o ziemię.

DZIESIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIÉJ.

Karakas, stolica Venezueli leży przy wnijściu do pięknéj doliny, szerokiéj na półtrzeciéj mili, rozciągającéj się na wschód trzy mile ku *Kaurimare* i *la Cuesta de Auyamis*. Położenie tego miasta między górą *Silla* a *Avilą* sprawia, że ta stolica ma ponure, ciemne oblicze, szczególniéj w porze zimowéj. W lecie przybiera jaśniejszą barwę, noce są przyjemne i jasne, powietrze pogodne, przeźroczyste, jak zwykle pod strefą ciepłą. Dolinę Karakas nazywano już nieraz rajem, przybytkiem wiecznéj wiosny.

W roku 1812, nim jeszcze okropne trzęsienie ziemi zasypało rumowiskiem miasto, stał na *Placa major* gmach wytworny. Nad wchodem wspiérał się balkon na wysokich słupach, piękne posągi mistrzowskiego dłuta ozdabiały fasadę gmachu. Wnętrze pałacu biło przepychem europejskim. — W jednéj sali rozléwało się magicznie przycienione światło. Opony u okien z szkarłatnego aksamitu były spuszczone, aby skwar słońca nie uznajał mieszkańca; długim rzędem stały najwonniejsze kwiaty Arabii, jasne zwierciadła i najpiękniejsze obrazy wisiały na ścianach, w pięknéj klatce z srébrnego drutu śpiéwak lasów amerykańskich, cudne rozwodził pienia. W głębi téj rozkosznéj sali spoczywała boska postać dziéwczyny na bogatém łożu, na które z leciuchnych tkanin spływała kotara. Płeć smagława, kibić wyzywająca dłuto snycerza, dwoje gwiazd, których spojrzenie gasi światło nieba, bujne pierścienie hebanowych włosów igrających w rozkosznym nieładzie z mlecznémi ramiony, wszystko to dało poznać Kreolkę, piastunkę ognistéj miłości. Bogata, srébrem przetykana suknia, ujęta w gorsie brylantową śpinką, rzucała kaskadami iskier, rozkwitająca róża płonęła u skroni cudnéj dziéwczyny, na wzbiérającéj oddechem piersi, błyszczał mały, na złotym łańcuszku krzyżyk. Kreolka boginią miłości na ziemi, wskroś uczuciem, wskroś płomieniem! Z promieni światła tkają wdziękinie niebiańską postać Kreolki. Któż nie zna n. p. sławnéj kreolki z Martinique, pięknéj, ubóstwianéj Józefiny, małżonki jenerała, konzula, cesarza? — Z przysioniętą na pół rzęsą, spoczywała urokliwa czarodziéjka,

zdawała się pieścić lubémi snami, gdyż słodki uśmiéch wykwitał na jéj koralowe usta. Lekko otwarły się podwoje, piękny mężczyzna wszedł do sali, a widząc zasypiającą, stanął na palcach wahając się, czy ma odéjść lub pozostać. Aurelija, (tak się nazywała piękna Kreolka), dała znak lekkiém skinieniem, aby przystąpił.

»Przystąp bliżéj kochany margrabio«, czystym, dźwięcznym przemówiła głosem. »Właśnie tobą byłam zajęta.«

»Mną piękna Aurelijo?« zapytał Edward całując jéj alabastrową rączkę usiadłszy na krześle.

»Nie jestżeto zajęcie, myślić o przedmiocie swojéj miłości?« zagadnęła Aurelija ze słodkim umizgiem. »Wy mężczyźni chełpicie się waszą mozolną pracą. Możnaż to wam w zasługę policzyć, że przy ognisku domowém odgrywacie rolę tyranów, że obłędem waszych współbraci, wzrastacie w potęgę, że dumnym krokiem przemierzacie salę wysokiéj *audyjencyi* zlaną łzami niedoli? Bez kobiét bylibyście zimnémi posągami, słońce naszéj miłości, topi wasze lodowate serca. Kobiéta jest podobną do artysty, który żyje w duchowym świecie ideałów. Uczucie kobiéty jest tą podwodną rośliną, któréj wiotka łodyga włóknami korzeni idzie aż na dno morza. Nie jestżeś mego zdania kochany margrabio?«

»Dźwięk słów twoich piękna Aurelijo idzie głębiéj, bo aż na dno serca! Pozwól jednak uczynić uwagę: nie jestże uczucie wasze częściéj mrzonką, ognikiem błędnym, złudzeniem?«

»Złudzeniem?« powtórzyła Aurelija, igrając paluszkiem z lokiem włosów margrabiego.

»Jeźli w mojém objęciu zapomniesz o ziemi i przeniesiesz się na skrzydłach miłości do nieba, nie jestżeto złudzeniem?«

Usta kochanków zespoliły się namiętnym pocałunkiem, a ich głośna rozmowa zamieniła się w cichy szept miłości. Szelest roztwiérających się podwoi, obudził kochanków z lubego marzenia. — Chudy, podstarzały mężczyzna wszedł do pokoju.

»Dobrze, że cię tu znajduję panie Edwardzie«, przemówił wesoło, ale postrzegłszy chmurkę na czole Aurelii: »Przepraszam, odchodzę zaraz, chciałem ci tylko powiedzieć kochana siostrzenico, żeśmy utracili jeden kroć sto tysięcy piastrów.«

»O nieba! Byćżeto może!« zawołała Aurelija ztrwożona.

»Przeszłéj nocy zburzono do szczętu moje piękne plantacyje nad Rio-Catuche, okazałe budynki obrócono w perzynę. Ach panie margrabio, żyjemy w czasach okropnych! Indyjanie plemienia Chamajs, połączeni z Murzynami, podnieśli mordercze powstanie. Chcą w naszém mieście wznowić okropne sceny na St. Domingo. Już dwa pułki przeciw nim wysłano. Jam także rzucił wędkę na rokoszanów naczelnika. Kazałem ogłosić, że kto go żywcem dostawi, otrzyma dziesięć tysięcy piastrów, a jeźliby sam był niewolnikiem lub powstańcem, otrzyma wolność i pięćdziesiąt morgów gruntu.«

»Środek ten już bardzo z-użyty«, rzekł margrabia.

»Nie znasz margrabio Murzynów. Puść niewolnika z łańcucha, a on dziesięciu okuje w kajdany.«

»Dziesięć tysięcy piastrów, to za wiele, tyle nie warta głowa niewolnika«, z ubolewaniem narzekała Aurelija.

»Imię naczelnika rokoszanów?« zapytał margrabia.

»Palma Amaru.«

»Palma Amaru!« powtórzył margrabia z przestrachem. »O zapaleńcze, i anioła przy twoim boku ciągniesz z sobą w przepaść!«

»Czy znasz tego okrutnika margrabio?«

»Zdaje mi się, żem go znał dawniéj. —«

»Niechno go w moje dostanę ręce, pozna on alkaldę z Karakas!«

»Jeźli ci panie przyjaźń moja miła, bądź ludzkim dla tego nieszczęśliwca. Bywaj zdrowa piękna Aurelijo.« To rzekłszy wyszedł rozrzewniony.

»Kochany wujaszek zamienia moje pokoje na biuro urzędowe«, przemówiła się Aurelija, porywając za dzwonek i wydając rozkazy, aby przygotowano powóz do teatru.

»Margrabiemu lub się pomięszało w głowie, lub téż został *exaltadosem*. Co to może wygnanie!« tę mowę cedził alkalda wychodząc z pokoju. »Ale to pewna, że wdając się z Indyjanami, stracił polityrę.« — —

W skalistym wąwozie na wschód od góry Silly, stała w palmowym lasku chata powiązana z łodyg i liści *helikonii*, ukryta przed okiem wędrowca. Zimny wiatr dął przeszywająco, niebo było ciemnémi okryte chmurami. Słaby promień dziennego światła, wpadał przez szczelinę do ciasnéj izdebki i oświécał mieszkankę téj samotnéj pustelni, klęczącą i w gorącéj modlitwie zatopioną Gabryjelę. Dziesięć miesięcy, a jak wielka zmiana! Ani poznać czarującéj pasterki z doliny Caripe! Twarz blada, jak śnieg na szczycie Silly, oddech czasu pozwiéwał z jagód kwitnące róże, we łzach tonęło wesołe, dziecięcą szczérotą uśmiéchające się oko biédnego dziewczęcia. Konwulsyjnie cisnęła ręce do serca, aby nie biło tak boleśnie!

»Nie smuć się gwiazdo mych oczu«, szepnął ktoś wszedłszy po cichu do chaty. »Jesteś piękną

i młodą, twoja ręka powinna same złote zrywać owoce.«

»Tyżeśto!« krzyknęła wylękniona dziewczyna, ujrzawszy szkaradne oblicze Murzyna.

»Najmilsza, jesteśmy sami, powiedz, że chcesz być moją, a moim oddechem wyzdrowieje twoje chore serce. Nie masz żadnego przyjaciela, twój srogi ojciec opuścił cię, i zostawił samą bez pomocy.«

»Pomniesz jaskinię Guacharo? Tam zaświeciłeś mi pochodnią śmierci, twoi czarni bracia zawtórzyli mi pieśń grobową! O czemuż owéj okropnéj nocy, nie zamknęły się na wieki oczy moje!«

»Nie złorzecz losowi. Nie byłato pochodnia śmierci, ale światło poznania. Czy jeszcze myślisz o margrabi, który teraz w objęciach pięknéj, bogatéj kobiéty.«

»Nie bluźń, jego wzniosła dusza nie zna obłudy!«

»Mam dowody, mogę cię przekonać!«

»Dowody? O Boże w niebiesiech!« zawołała dziéwczyna zakrywając twarz łzami zalaną.

»Znasz jego pismo?«

»Czy je znam!«—»Mam słodki list jego ręki, noszę go tu na sercu«, rzekł Murzyn. »Spojrzyj, pisany do pięknéj Aurelii.«

Gabryjela wyrwała list z rąk Murzyna, a przebiegłszy go płomienistém okiem, schowała za gors skwapliwie. »Któż skradł tę tajemnicę miłości?« zapytała groźno.

»Pewien niewolnik alkaldy, mój szczéry przyjaciel. Odwróć oczy twoje od tego obłudnika i uraduj miłością twoją serce wierniejsze! Olbrzymie ułożyłem plany, przywiodę je do skutku, skoro miłość twoja będzie moją nagrodą. *Touissant l'Ouverture* wzniósł wolne państwo Murzynów na wyspie St. Domingo, Dawid w państwie Venezuela, w jego ślady pojdzie, twoje skronie ozdobi koroną. O, wysłuchaj mnie aniele, bądź moją żoną, a....«

»Precz odemnie piekielny potworze!« wykrzykła Gabryjela, odtrącając go od siebie.

»Jeszcze syczysz gadzino? Byłem dotąd barankiem, ale umię być i szatanem!« Na te słowa błysnął sztyletem. »Jesteś moją, albo to żelazo utopię w twojéj białéj piersi.«

»Nie uczyniesz tego Dawidzie, jeżeli to prawda, że mię kochasz«, rzekła z przybraną łagodnością Gabryjela, zbliżając się ku Murzynowi. »Gdy mnie wszystko odbiegło, mamże śmierć odbierać z twojéj ręki, z twojéj Dawidzie?« To mówiąc, spojrzała z udaną miłością.

»O, luba czarodziéjko!« zawołał Murzyn zachwycony i przytulił Gabryjelę do swoich piersi. »Jesteś moją, a ten znak przymierza, niechi zaświadczy chwilę szczęścia mojego!« Gdy Murzyn chciał dotknąć się ust Gabryjeli, sztylet już był w jéj ręku, już się jak furyja wyrwała z ramion Murzyna.

»Zbliż się teraz podły niewolniku!«

Na tę niespodzianą odwagę dziewczyny, szatańskim ogniem zaiskrzyły się oczy Murzyna, potwornie wykrzywił szkaradne oblicze.

»Nie głoś jeszcze zwycięztwa jadowita gadzino«, zawołał Murzyn zgrzytając zębami i pieniąc się od złości. »Przyjdzie chwila, że mi się u nóg będziesz wiła! Wiedz o tém, że niewolnik, który naczelnika Palma-Amaru odda żywcem w ręce nieprzyjaciół, otrzyma pięćdziesiąt morgów gruntu. Raduj się teraz; jeszcze téj nocy okuję twego ojca w kajdany.« To rzekłszy opuścił spiesznie chatę.—

Już się zmiérzchało, gdy się zbliżył do obozu Indyjanów Chamajs, klasnął trzy razy w dłonie. Na ten znak ozwał się głos z szałaszu: »Tyżeśto Dawidzie? Cóż porabiają nasi nieprzyjaciele w Karakas?«

»Powszechna panuje trwoga, gubernator wyjeżdża téj nocy do Witoryi. Niech Palma nie zalega pola, w lesie Pejoal nie ujdzie ptaszek naszym sidłom.«

»Czy ma konwój z sobą?«

»Jeden tylko niewolnik jest jego towarzyszem.«

Wkrótce potém Palma-Amaru z swoim przyjacielem Dawidem, w towarzystwie trzech Indyjanów opuścili obóz. Przed lasem Pejoal udał się Murzyn w gęstwinę na szpiegi, Palma-Amaru zatrzymał się z resztą towarzyszów.

W dolinie pod lasem stało dwa pułki pod bronią, nazajutrz miały uderzyć na obóz Indyjanów. Już była noc ciemna, gdy Dawid dostał się do wojska. W ćwierć godziny potém żołniérze w koło las otoczyli. Padło kilka wystrzałów, rozległ się szczęk broni, a potém wszystko ucichło. Po chwili wszczął się okrzyk tryjumfu żołniérzy. Palma-Amaru w rozpaczliwéj walce pokonany, wzięty w niewolę, został zawieziony do miasta Karakas.

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 11. i obejmuje: 1) O uprawie rzepaku. (Ciąg dalszy). 2) O potrzebie i ważności szkół przemysłowych. (Dokończenie). 3) Jeszcze jedno lekarstwo na grudę. 4) O popieleniu drzewa na potaż. 5) Wiadomości czasowe.

Miło nam zwrócić uwagę czytającéj publiczności na pismo czasowe francuzkie, w Wiedniu od 1go stycznia 1843 trzy razy na tydzień, pod tytułem: *Salon littéraire et narratif* wychodzące. Pismo to będzie zawierać ciekawe powieści, zajmujące opisy podróży, charakterystykę obyczajów, wiadomości o literaturze i

sztuce. Wybór artykułów, które mamy przed sobą, czyni zaszczyt redaktorowi panu Dr. Hofstetter. Oprócz tego wydanie bardzo ozdobne. Należy się więc spodziewać, iż pismo to znajdzie w naszéj prowincyi liczne grono czytelników.

Z Warszawy: *Kopernik w Walhalli*, przez Adryjana Krzyżanowskiego. Mikołaj Kopernik, założyciel dzisiejszéj Astronomii, chwała naszego imienia, do nas, do nas niezaprzecznie należy, ani pomroka wieków przebrzmiałych, ani niegodne przywłaszczania Niemców, nie wydrą nam téj drogiéj własności. W Bawaryi ręka rządu wzniosła Walhallę, gmach poświęcony wszystkim wielkim pamiątkom, wielkim sławom niemieckim, i w tym przybytku przeszłości, w téj żyjącéj świątyni historyi, płaska zawiść umieściła Mikołaja Kopernika jako Niemca. Ale to pogwałcenie prawdy, to wdzieranie się w dziedzinę naszéj chwały i naszéj sławy, nie starga rodowości naszego ziomka i silniéj tylko odbije nieśmiertelną sławę jego. Bo dla Kopernika Polaka, dla jenijalnego objawiciela systemu świata, miejsce jest w każdym przybytku wielkości, w każdém Muzeum, Panteonie, Sybili, czy nad brzegami Wisły, Dunaju lub Sekwany. Tak, Kopernik Polak niech wszędzie błyszczy, niech zdobi wszystkie pomniki wszystkich narodowości. Mąż, który wiek wyprzedził, który odgadł dzieło Stwórcy, ten mąż na którego promieniejącém czole, wyciśnięte było namaszczenie Opatrzności, ten mąż niech należy do całéj ludzkości, ale zawsze z promieniem naszéj rodowości, z krwią i kościami naszémi. Pojęlibyśmy więc myśl, którąby była wyznaczyła Kopernikowi Polakowi miejsce w Walhalli, jako uniwersalnemu jenijuszowi, ale umieścić go tam jako Niemca, jak obcego nam krwią i pochodzeniem, to przechodzi wszelkie prawa, to ubliża najświętszym uczuciom. Adryjan Krzyżanowski, profesor emeryt. b. Król. Warszaws. Uniwer. stanął w obronie drogiéj nam spuścizny. Z głęboką erudycyją, opartą na niezbitych cytacyjach, z łona dawno minionéj przeszłości, wywołał kolebkę sławnego astronoma, i ta kolebka jest polską kolebką. Potém szedł za pierwszémi krokami jego młodości, i wykazał, że pierwsze wrażenia, pierwsze bogactwa nauki, w szkołach polskich wyssał, i że młodzian już pełen nadziei i siły, pod niebem Włoch, w najsłynniejszym w ówczas Uniwersytecie w Padwie, dokonał ukształcenia; ani stopa jego nigdy niemieckiéj nie dotknęła ziemi. Dołączając do dzisiejszéj Gazety naszéj wyborny artykuł p. Krzyżanowskiego, składamy mu zarazem podziękowanie, że ogłosił się publicznym obrońcą naszéj sławy i naszéj własności. Spodziewamy się, że wszystkie pisma krajowe i zagraniczne polskie, godnie odpowiedzą wezwaniu szanownego autora, i powtórzą słowa prawdy, do których skréślenia najszlachetniejsze powodowały nim uczucia, wszystkie mówimy, bo rodowość Mikołaja Kopernika dla któregoż mogłaby być obojętną?

(Gaz. Warsz.)

Lubomirski Stanisław, Wojewoda krakowski, starosta spiski, umiérając r. 1649 dnia 16. lipca zostawił w skarbie prócz klejnotów 400,000 talarów i 100,000 czerwonych złotych, wybudował klasztor Karmelitów w Wiśniczu (gdzie pochowany), kościół farny tamże, w Podolincu klasztor Pijarów, w Łańcucie kościół Dominikanów, fortece Wiśnicz z 80 działami, zaopatrzywszy ją puszkarzami, prowijantem na trzy lata i piechotą z 400 ludzi z włości swych zebraną, wystawił fortece w Łańcucie z 8 działami, zaopatrzoną 400 ludźmi i 400 beczkami wina, fortecy téj nie mógł zdobyć Rakoczy. Miał na swym dworze prezydenta Andrzeja Justimenti, marszałków dwóch, pisarzy pokojowych 4, sług rękodajnych (*jurgieltników*) 60, krajczych 4, srebrnych kozaków 60, komorników (paziów) 40, domowych przyjaciół mnóstwo, pokojowych, szlacheckich synów 20, koniuszych 2, kalwakatorów 3, do koni tureckich masztalerzy na stajni 60. dragonii 200, piechoty węgierskiej nadwornéj 400, muzyków 25, sokolników i rarożników 30, doktora 1, aptekarzy 2, cérulików 2, kuchmistrzów szlachty 2 (z których jeden Czarnecki, nawet posiadał starostwo), kucharzy 12, pasztetników 3, piekarzy 4.

Boerne. Przyjaciele znakomitego niemieckiego autora Boerne, który umarł w Paryżu 12. lutego 1837 roku, uroczyście obchodzili dzień 12. z. m. jako rocznicę jego śmierci, wzniesieniem mu na cmętarzu *Pere la Chaise* pomnika ze spizowem popiersiem zgasłego, dłuta Dawida.

Zdanie. Romans historyczny powinien w czynach i kolejach losu charakterów celujących osób, nietylko jawić owego ducha, który cały okres czasu ich działania przenika, ale i owe skutki, które z walki sił wielkich wynikają, jasno i wyrazisto przedstawić. Powinien to w życiu pojedynczych ludzi wytknąć, co historyk w życiu całych narodów wykazuje. Na tem — aby autor historycznego romansu całe igrzysko życia jakiego wieku w niewielu pojedynczych figurach wystawić, aby te figury w zawikłanie zajmujące czytelnika wprawić, a zawikłanie to znowu do zaspokajającego rozwiązania doprowadzić umiał, oraz, aby śród ludzkich ułomności i namiętnych zapędów, panującą ideę i ów wyższy cel, do którego człowieczeństwo pomimo swojéj wiedzy dąży, dał spostrzedz, a przynajmniéj przeczuwać — na témto zawisła poezyjna twórczość romantyka, i to jest pole do połączenia poezyi z historyją.

Postęp w botanice. Theophrast, który się na trzysta pięćdziesiąt lat przed Chrystusem oddawał botanice, wylicza 500 rodzajów roślin. O dwa tysiące lat późniéj, znane były botanikowi Tournefort 10,000, w roku 1813 wzrosła ta liczba do 25,000, w r. 1817 wylicza Bory de Saint Vincent 57,000. a w roku 1840 doszedł do liczby 80,000. Niechno odkryje się przed nami świat roślinny w państwie chińskiém i w środkowej Afryce, a dopiéro się okaże, jak mało jeszcze w téj mierze wiémy.

W całéj Europie przypada na 28 ludzi jedno urodzenie, w jednym roku rodzi się 9,000,000, na jeden dzień 24,000, na jedną godzinę 1025.

Seranga, czyli drzewo gumielastyczne, rośnie w Brazylii w prowincyi Ceara. Nie masz dotąd dokładnych wiadomości, jak daleko rozciągają się lasy z drzew gumielastycznych i wiele płynu uzyskuje się z tego drzewa, to tylko wiadome, że 9 do 10,000 Indyjanów utrzymuje się wydobywaniem soków z tego drzewa, które ma zwykle 27 łokci polsk. wysokości a 27 do 29 cali średnicy. Pień serangi jest gładki, ma u góry koronę, kwitnie, nie puszcza po bokach żadnych odrośli, ani gałęzi. Rośnie pośród rozmaitych gatunków drzew, szczególniéj na moczarach. Dawniej ścinali Indyjanie to drzewo dla uzyskania gumielastycznego płynu, nie znali jeszcze sposobu narzynania i ściągania tym sposobem soków. Przekonano się nawet, że to narzynanie w pewnéj mierze pomaga drzewu do wzrostu. W Caera dostanie za 2 lub 3 franki obuwia z tegoż płynu. Najwięcej fabrykatów z *kautschuku* odchodzi do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Miasto Ceara liczące około 30,000 mieszkańca, zawdzięcza swoje znaczenie handlowi tą gumą. Nie tylko trzewiki, buty, ale i różne zabawki wyrabiają z tego płynu. — W Europie używają *kautschuku* do różnych materyi

nie przepuszczających wody. Życzyćby należało, aby chemija wynalazła środek, za pomocą którego *kautschuk* w płynnnym stanie utrzymać by można, wtedy użytek z niego byłby jeszcze rozmaitszy. Corocznie wywożą z prowincyi Ceary 1500 beczek *kautschuku*.

Muzyka panuje uczuciom. Mejerbeer przed swoim odjazdem z Paryża, pisał różne pojedyńcze kompozycyje do śpiewu, między innemi pieśń: »Trapistów«, którą w dziennikach paryskich z wyszczególnieniem spominano i która wkrótce w salonach bardzo ulubioną się stała. Pieśń ta była także na koncercie w Laval odegrana, a że się w téj okolicy klasztor Trapistów znajduje, więc przełożony tegoż klasztoru życzył sobie tę pieśń słyszeć. — Kazał więc śpiewaka Tagliofico do siebie wezwać i prosił go, aby ją zakonnikom klasztoru odśpiewał. »Trzeba było«, mówi dziennik francuski, »być świadkiem, jak wielkie, jak uroczyste wrażenie pieśń ta na zgromadzeniu duchownych sprawiła; zdało się, że ich dusze z tonami śpiewu w nieba uleciały!«

Dziedziczność urzędów i rękodzieł w Japanie. Towarzyskie stosunki w Japanie polégają szczególnie na dziedziczności wszystkich publicznych urzędów i rzemiosł, dla tego też zbywa tam na wszelkiém dążeniu zaspokojenia osobistéj dumy, które społeczeńskie stosunki w Europie ożywia. Ludność kraju podzielona jest na ośm klas, mianowicie na książąt panujących czyli rejentów — szlachtę — duchowieństwo — wojskowość — urzędników cywilnych — kupców — rzemieślników i włościan. Jednakże jedno z rzemiosł, podobnie jak indyjskie Paria, zdaje się stanowić osobną kastę, to jest garbarstwo. Wszystkie stany unikają starannie stosunków z garbarzami, a ci ostatni dostarczają także katów dla kraju. — Niewiasty japańskie używają prawie takiéjże samej wolności jak niewiasty w Europie; są one przewodniczącémi boginiami na każdéj uczcie i ozdobą społeczeńskiego pożycia. — Rolnictwo i przemysł stoją w Japanie na tak wysokim stopniu, jak w jakim najlepszém państwie oryjentalném. W Słagansakei robią przewyborne dalowidy, termometry, zegary, tudzież inne mechaniczno-artystyczne dzieła. Anglik Meylan widział tam zegar bijący, mający pięć stóp długości a trzy szérokości; ozdoby na nim były gustowne, szczególniéj bardzo pięknie wyglądał krajobraz z złotém słońcem, a gdy biła godzina, ptak trzepotał skrzydłami, a z kryjówki wylazł żółw', dla wskazania godziny.

Rzadkie zjawisko. W Annaberg w rudnych górach saksońskich dnia 30go stycznia o godzinie 10téj wieczorem, uderzył piorun w wieżę kościelną, która przez kilka minut była w ogniu. Deszcz ze śniegiem ugasił natychmiast płomienie. W tymże samym czasie we wsi Mildenau, dwa domy wraz z zabudowaniami poszły od piorunu z dymem.

Niewolnictwo jako urządzenie natury. Pan Newman opisuje w *History of insects* historyję mrówek, w któréj wykazuje, że sama przyroda jest tworczynią niewolnictwa. Autor dostrzegł, że są dwa rodzaje mrówek, jedne czerwone lub blade, drugie zaś czarne jak Murzyni Afryki. Pierwsze napadają na mrowisko czarnych Murzynów, unoszą je z sobą, zmuszają do roboty w swoich mrowiskach, słowem obchodzą się z niemi jak z niewolnikami. Połów ten na niewolnicze mrówki trwa zwykle przeszło dziesięć tygodni, nie rozpoczyna się jednak piérwej, nim się z poczwarek nie wylęgnie czarne pomrowie. Widać w tém działanie instynktu, inaczéj bowiem wyginęłoby plemię mrówek-niewolników. Nim mrówki czerwone wyruszą na rabunek, wysełają naprzód szpiegów dla zbadania siedliska Murzynów, a skoro je odkryją, zdają raport z swojéj wycieczki. Wtenczas wyrusza wojsko czerwonych mrówek, straż przednia ciągle się zmieniająca, nie odbiegając daleko od głównego korpusu, zatrzymuje się, wypuszcza naprzód główną armiję i zostaje w odwodzie. Straż ta składa się najwięcej z ośmiu lub dziesięciu mrówek. Przybywszy blisko kolonii Murzynów, rozłażą się na wszystkie strony, wirują w koło, dopóki nie dopatrzą mrówiska niewolników. Piérwsi w szeregu uderzają na straż Murzynów, która się zacięcie broni i częstokroć trupem czerwonych mrówek bojowisko zaściela. Wieść o napadzie dochodzi do gniazda Murzynów, tysiące wypadają z swoich kryjówek, czerwone mrówki ściskają się w gęste zastępy, rozpoczyna się zacięta walka, która się zwykle kończy klęską Murzynów. Porażone mrówki uciekają do swoich kryjówek. W téj chwili rozpoczyna się rabunek. Czerwone mrówki rozrywają ściany mrowiska i rzucają się w środek cytadeli, każda unosi z sobą poczwarkę mimo czujności i oporu straży, i sformowawszy się w szeregi uchodzą do swego gniazda. Tam wygrzewają swoję zdobycz, dopóki się nie rozwinie. Wylęgłe poczwarki naprawiają gniazdo, kopią kanały, zbiérają żywność, karmią młode, wynoszą poczwarki czerwone na słońce, słowem pełnią wszystko, co ku wygodzie kolonii służy, i co od urodzenia jest ich powołaniem.

Kodeks karny niebieskiego państwa, skazuje zbrodniarza stanu na torturę, a krewnych jego w piérwszym stopniu, na ścięcie. Powinowaci zaś idą w niewolę, i bywają wystawieni na przedaż. Również kara śmierci czeka każdego, ktoby jadącemu cesarzowi lub jego świcie stanął w drodze, lub ktoby się poważył wstąpić do pokoju, który niebieskiéj Mości dla wypoczynku z podróży przygotowano. Robotnik pracujący w pałacu musi wykazać się kartką, że mu wolno zostawać pod jednym dachem z synem słońca. Wychodząc z pałacu obowiązany zwrócić tę przepustkę do przybytku światła-światłości. Kto się w pałacu dłużéj nad wyznaczoną godzinę zabawi, ten niech się pożegna z swoją głową. Przyboczny lékarz Cesarza, jeźli się poważy zapisać lékarstwo niestwierdzone doświadczeniem, otrzymuje sto kijów. Na stole Cesarza wszystkie potrawy muszą być jak najczyściéj sporządzone. Wszelka choćby najmniejsza nieczystość, ściąga na kucharza plag osmdziesiąt.

Pogarda życia. W czasie okropnych scen Paryża, osądzono między innémi także księcia de Lauzun na śmierć. W téj saméj godzinie, w któréj go na rusztowanie prowadzić miano, zażądał, by mu na śniadanie ostryg i wina przyniesiono; w chwili gdy z największą spokojnością takowe pożywał, nadszedł po niego kat. »Mój przyjacielu«, zawołał nań książę: »Jestem zupełnie gotów, ale pozwól mi piérwéj skończyć moje ostrygi, ręczę, długo czekać nie będziesz«, to rzekłszy, jadł spokojnie daléj, nalał dwie szklanek wina, podał z nich jednę katowi, mówiąc: »Do twego rzemiosła potrzebujesz siły i odwagi, napij się wina, a śmieléj robotę swoję wypełnisz.« — Kat wypił. Książę skończywszy do ostatka śniadanie, prosił o piórko do zębów, i siadł obojętnie na wóz, który go na plac śmierci zawiózł.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców ***Franciszka Kratera.***
Drukiem ***Piotra Pillera.***